

# Giaur

**George Gordon Byron**

Przekład: Adam Mickiewicz

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## PRZEDMOWA TŁUMACZA

O wpływie Byrona na całą tegoczesną literaturę przekonywają się co dzień czytelnicy, bo widzą na wszystkich utworach późniejszych barwę i piętno tego wielkiego poety. O zaletach i wadach dzieł jego tyle ksiąg napisano, że z nich można by ułożyć małą bibliotekę; nie myślimy poruszać tej pleśni krytyczno-panegirycznej, głęboko już zasypanej innymi, ważniejszymi polemikami.

Ale tłumacz czuł się obowiązany powiedzieć zdanie swoje o dziełach autora pod jednym przynajmniej względem – pod względem moralnego ich charakteru i dążenia. Wiadomo, iż Byrona oskarżano o bezbożność i antysocjalizm; zarzucano mu, że występnych ludzi wybierając na bohaterów swoich pieśni, robił niejako apoteozę zbrodni; Fryderyk Szlegel nazwał go emisariuszem szatana, a wszyscy zgodzili się, że był apostołem sceptycyzmu.

Wszakże, jeśli sądząc dzieła pod względem sztuki, krytycy zwykli je odnosić do wieku, w którym wzięły początek, porównywać z dziełami współczesnymi i późniejszymi, należałoby równą zachować metodę oceniając moralny charakter autorów.

Byron był dzieckiem przeszłego wieku; wszedł na świat w epoce moralnej najniebezpieczniejszej dla człowieka, dla poety. Właśnie wtenczas spadała zasłona po pierwszym akcie rewolucji. Straszna walka piśmienna i słowna przecięta została gilotynami i zagłuszona grzmiotem wojny europejskiej. Stronnictwa osłabione wzajemnym mordem ustąpiły z placu boju; niedobitków Napoleon rozbroił i wzięł na kagańce. Wszystko ucichło. Był to czas dziwnego otrętwienia; o tych wielkich pytaniach, które świat zaburzyły, lękano się już mówić, zaprzestano myśleć. Dzieła wszystkie ówczesne noszą cechę trwogi umysłowej i moralnego upadku. Są to niby rozmowy winowajców zamkniętych w więzieniu, którzy wstydzą się wspominać przeszłość – bo haniebna, boją się pomyśleć o przyszłości – bo okropna, i – bawią się gawędką o pogodzie i deszczu.

Dusza Byrona nie mogła żyć wśród takiej literatury, gwałtem wrywała się za jej sferę. Młody autor, prześladowany od krytyków, ścigał ich wzajem, a z krytyków sądząc o czytelnikach, zaczął lekceważyć całą publiczność. Po tej kłótni autorskiej z literatami nastąpił rozbrat moralny z ludźmi, którego szczegóły należą do biografii.

Zalśniony gniewem, zlorzecząc obłudzie,  
Choć znał, zapomniał, że są lepsi ludzie.

*Korsarz*

Odtąd zdało się Byronowi, że człowiek z sercem nie może żyć w towarzystwie, że musi uciec od świata lub mścić się nad nim. Odtąd bohaterów swoich, dzieci duszy swojej, wychowywał na pustyni lub w jaskiniach łotrów.

Ale dzieci Byrona nie są to pospolicie zbrodniarze, nie zimni egoiści albo szaleni fanatycy zakochani w swojej przewrotności i głupstwie. Poeta zostawia im jedną przynajmniej cnotę, jedno szlachetne uczucie, które ich mimowolnie z rodzajem ludzkim wiąże, które nie pozwala im pogрузić się w zupełną moralną ciemność i, świecąc na dnie sumnienia, tym wyraźniej daje widzieć wszystkie jego szczyby i plamy. Ludzie Byrona mają sumnienie. I tu jest główna różnica między naszym autorem i pisarzami przeszłego wieku. Przeszły wiek był sofistą, a więc nie znał różnicy złego i dobrego, ćwiczył się tylko w rozumkowaniu i za cel sobie położył: ze wszystkiego wytłumaczyć się, a raczej wygadać. Typem przeszłego wieku jest Panglos<sup>1</sup> Woltera. Ten Panglos, francuski Hiob, w największym spodleniu moralnym nie traci dobrego humoru; walając się w śmieciach i wypluwając zęby, zawsze pyszni się i cieszy się, że był i jest filozofem.

---

<sup>1</sup>Po polsku: Wszystkomowny albo Najjęzyczliwszy[przyp. Mickiewicza]

Ludzie Byrona gardzą taką sofisteryą, czują, że są winni, cierpią; duma tylko nie dozwala im błagać przebaczenia, a czytelnik czuje, że do poprawy brak im tylko – czasu, bo wszyscy zbyt szybko giną. Czytelnik pewny jest, że Giaur ani Korsarz, ani nawet Don Juan nie skończyliby jak Panglos albo Foblas.

I sceptycyzm Byrona różny jest od tej obojętności na wszystko, co jest wysokie i piękne, od tej zwierzęcej nieczułości, którą sofiści ochrzcili sceptycyzmem, a która jest tylko dobrowolną głucho-ślepotą. Cała filozofia przeszłego wieku dążyła do tego, ażeby ludzi już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawd wyższych i zasadniczych, ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne, albo niewarte dochodzenia. Byron pierwszy z poetów nie dał się zaspokoić taką sofistyczną kondemnatą myślenia i uczucia. Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkimi trudnościami dogmatów i tradycji, kłął i dąsał się jak tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy; ależ mu brakło, równie jak jego bohaterom – czasu! Może dlatego tylko nie sprawdziła się przepowiednia Walter-Skota.

Nie był tedy Byron kontynuatorem przeszłego wieku; owszem, powiedzieć można, że ruch umysłowy, dążący ku sofisteryi, on jeden na drodze literatury zatrzymał i wstecz zawrócił. Odgłos powszechny nazwał Byrona Napoleonem poetów, również Napoleona uznano za jedyne poety Francji. Wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka, która by jedno z tych berel dźwignąć mogła.

Uważano, że w dwojakim sposobie sceptycyzm ukazuje się na świecie: raz jako mrok wilgotny i zimny, wróżący noc długą; drugi raz jako te chwilowe ściemnienie porankowe, połączone z powiewem orzeźwiający, które zapowiada dzień. Byron wyobraża tą drugą epokę sceptyków, niepewnych w swoim dążeniu, ale pełnych ducha i rzeźwości.

## PRZEDMOWA AUTORA

Rozerwane ułamki niniejszego poematu składają powieść o smutnych losach branki muzułmańskiej, która za niewierność ukaraną została sposobem tureckim, utopiona w morzu, i której zgonu pomścił się kochanek jej, młody Wenecjanin. Zdarzenia podobne trafiały się dawniej często na Wschodzie; teraz rzadsze. Może kobiety muzułmańskie nauczyły się więcej ostrożności, może chrześcijanie mniej są teraz pochopni do śmiałych przedsięwzięć miłosnych i mniej w nich szczęśliwi. Zdarzenie, które jest treścią naszej powieści, odnieść należy do owych czasów, kiedy Wyspy Jońskie ulegały panowaniu Rzeczypospolitej Weneckiej, kiedy Arnauci, na chwilę wyparci z Morei, znowu, po bezskutecznym wtargnięciu Moskalów, zaczęli ją plądrować. Wiadomo, że odstrychnienie się Majnotów, obrażonych tym, że im zabroniono Mistrę rabować, ściągnęło nowe klęski na Grecyją. Kraj ten stał się naówczas teatrem okrucieństw, których przykład trudno znaleźć, nawet w dziejach prawowiernego ludu muzułmańskiego.

Umilkły wiatry, ciche lśnią się fale  
Przy grobowcowej Temistokla skale,  
Która wyniosłym niebo czołem bodzie  
I z góry patrząc na morza i smugi  
Najpierwsza wita lądujące łodzie.  
Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

\* \* \*

Wyspy szczęśliwe! w każdej porze roku  
Zarówno miłe i sercu, i oku,  
Gdy was przychodzi z gór Kolonny wita<sup>2</sup>,  
10 Wraz nagły urok źrenice mu chwyta  
I myśl pograża w dumy tajemnicze.  
Tu szklane morza cichego oblicze  
Na falach drobnych, jak uśmiechu dołki,  
Gór okolicznych odbija wierzchołki  
Strzegące brzegów, z którymi łagodnie  
Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.  
Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliznie  
I złamie szyby na modrej płaszczyźnie,  
I kwiecie z brzegu przyniesione miota,  
20 Jakaż w tym wietrze wonia i pieszczota!  
Tam, na skał wierzchu, u ścieku poników  
Błyszczy się róża, sułtanka słowików<sup>3</sup>,  
Jej brzmia pochwały kochankowie leśni,  
Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.  
Śliczna i skromna, królowa ogrodów,  
Nie tknięta wihrem, nie zwiędła od chłódów,  
Nie znając naszych zim niebezpieczeństwa,  
Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.  
Balsamy, których niebo jej udziela,  
30 W wonnych kadzidłach ku niebu odstrzela,  
Niebo wzajemnie co dzień jej użycza  
Świetnych kolorów swojego oblicza.  
Tam, w polu tyle jest kwiecica dla wianków,  
Tam, w lasach tyle cienia dla kochanków,  
Tam, grotty dla nich ciosane umyślnie;  
Dziś morski zbójca w te grotty się ciśnie  
I z nocą z małej czatuje galery  
Na bezpiecznego żeglownika stery.  
Skoro miesięczna zabłyśnie pochodnia,  
40 Zabrzmi gitara morskiego przechodnia<sup>4</sup>  
Zbójca swój rudel zaraz na głąb pędzi  
Zakryty cieniem nadbrzeżnych krawędzi,

---

<sup>2</sup> Przylądek Kolonna, zwany niegdyś Sunium

<sup>3</sup> O miłostkach róży i słowika poeci wschodni często wspominają.

<sup>4</sup> Na morzach greckich często w noc pogodną słychać dźwięki gitary. Ulubiony to instrument majtków greckich, przy jego dźwięku śpiewają i tańczą.

Zahacza statek, zdobycze rozdziela;  
Wrzask konających miesza pieśń wesela.

Dziwna! gdy kraj ten natura obrała  
Na ogród bogów i hojnie nań zlała  
Tyle bogactwa, piękności tak wiele,  
Jakby we własnym zakochana dzieła,  
Dziwna! że dzieła własnego się zrzeka  
50 I dziś natura wpuszcza tu człowieka,  
Który, odwieczny miłośnik zniszczenia,  
Ogród edeński na nowo wyplenia  
I jako leśny dzik kwiecie wytlacza,  
Nie pokropione znojami oracza  
Ani znające ręki ogrodnika!  
Tu kwiecie samo dokoła wynika,  
Za tyle wdzięków, za taką obfitość  
Uprasza tylko człowieka o – litość.  
60 Dziwna! tu ziemia oddycha pokojem,  
A serce ludzkie – chucią i rozbojem.  
Czyż kraje światła na nowo ogarnie  
Noc namiętności rządzących bezkarnie? –  
Patrząc myśliłbyś, że tu zbuntowani  
Wojsko aniołów zwalczyli szatani,  
I cherubinów trony dziś przywłaszcza  
Tłum, który piekiel wyzionęła paszcza.  
Tak śliczny kraj ten, ojczyzna rozkoszy,  
Tak brzydki tyran, co go dziś pustoszy!

Kto na śmiertelnym oglądał posłaniu<sup>5</sup>  
70 Nim dzień przeminał, pierwszy dzień nicestwa,  
Piękne oblicze zaraz po skonaniu,  
Ostatni trudów i bólów jestestwa;  
Nim śmierć ostatnim przyciśnięciem ręki  
Zgładziła rysy, gdzie chronią się wdzięki:  
Kto pomni twarz tę anielsko – łagodną,  
Tak zimno piękną, tak smutnie pogodną!  
Zda się w letargu zasypiać głęboko,  
Zda się być żywą – gdyby nie to oko,  
Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność,  
80 Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność  
I straszy widzów, i serca im studzi,  
I z oczu trupa wpada w serca ludzi –  
Gdyby nie wzrok ten, nim pierwszy dzień minie,  
Nim ta godzina – w tej jeszcze godzinie  
Śmierć tak łagodnie, niewiedomie władnie,

---

<sup>5</sup> Zapewne rzadko który z czytelników widział na własne oczy obraz tu opisany. Kto widział, musi pamiętać, jak smutne czyni wrażenia ta dziwna piękność, która kilka godzin po zgonie zdoła jeszcze twarz martwą, ale kilka godzin tylko. Godna uwagi, że człowiek zabity kulą na policie na twarzy wyraża żal, chociażby za życia był śmiały i dziki; przeciwnie, postać człowieka przebitego sztyltem wyraża ból i tchnie dzikością

Że jej tyraństwa nikt zrazu nie zgadnie!

- Dziś do tej twarzy Grecyja podobna,  
Martwa od dawna, lecz dotąd nadobna;  
Jej widok ziębi, jej wdzięk do łez wzrusza,  
90 Bo już piękności nie ożywia dusza.  
Jej wdzięk jest tylko uśmiech pozostały  
Na chwilę w ustach, co ducha oddały,  
A jej rumieniec – chorowita krasa,  
Która na trupich licach nie zagasa,  
Ostatni odbłysek zachodnich promieni,  
Co się wokoło ruiny czerwieni;  
Ostatnie czucie, co żegna nadzieję,  
Iskra niebieska, która dotąd tleje,  
Lecz już swej miłej ziemi nie rozgrzeje.
- 100 Ojczyzno mężów nieśmiertelnej chwały!  
Każda dolina, każdy wierzch twej skały,  
Jakie pamiętne! bo każde z nich było  
Kolebką swobód lub sławy mogiłą.  
Arko potęgi! dziś, czyliż tak mało,  
Czyż tylko tyle po tobie zostało? –  
Wstań, niewolniku podły, wstań na chwilę,  
Powiedz: ten wąwóz – czy nie Termopile? –  
Ty, z duchów orlich wyrodzony płazie,  
Na Leonida gnieźdzący się głazie,  
110 Przypomnij, nazwij tych opok wyżyny,  
Zatokę, wyspy – wyspy Salaminy!  
Powstań! te dawne, zapomniane boje  
Odnów i przywłaszcz, to dziedzictwo twoje:  
Z popiołów przodków może wróg rozdmucha  
Iskrę, zarodek ich wielkiego ducha.  
A kto z was w boju żywota dokona,  
Wliczy swe imię pomiędzy imiona,  
Na których wzmiankę pochlebstwem pijani  
Zwykli się trzeźwić, zwykli drzeć tyrani.  
120 Kto z was ojczyzny z więzów nie wybawi,  
Zginie, lecz tyle synom swym zostawi  
Sławy, nadziei, że staną się zdolni  
Rozerwać jarzmo i umierać wolni!
- Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,  
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna,  
Sto razy wrogów zachwiana potęgą,  
Skończy zwycięstwem. – Grecyja jest księgą,  
W której wiekami stoi wypisano,  
Że klęska wolnych jest świata wygraną.  
130 Królowie, sławę kupując u cieśli,  
Gdzieś bezimienne piramidy wzniesli;  
Wolni nie dbają, chociaż czasu fala

Wszystkie grobowce i pomniki zwała,  
Większe pomniki zostały nad niemi,  
Zostały góry ich ojczystej ziemi.  
Tam muza oczom przechodniów ukaże  
Groby swobodnych, wolności ołtarze.

140 Długo by mówić – przechodzić okropnie  
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie –  
Dosyć jest wiedzieć, że nikt nie zagrzebie  
Ducha swobody – chyba on sam siebie –  
Bo własne tylko upodlenie ducha  
Ugina wolnych szyję do łańcucha.

\* \* \*

Mieszkańcy ziem tych! macieź wy powieści  
Dawnym podobne? i których by treści  
Natchnęły muzę do polotów szczytnych,  
W ślad muzy greckiej wieków starożytnych,  
Gdy ludzie byli ziemi swojej godni? –  
150 Dziś, do niczego niezdatni – prócz zbrodni.  
Z ognistą duszą, co by mogła siły  
Natchnąć do dzieła godnego pomników,  
Dziś oni pełzną z kolebek w mogiły  
Niewolni – gorzej – słudzy niewolników<sup>6</sup>,  
Zmazani całą szkaradą, co brudzi,  
Niewiele wyższych nad zwierzęta, ludzi;  
Nie mają nawet tej dzikich odwagi,  
Piersi gotowej przyjąć oręż nagi;  
Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa  
160 Z nowym towarem stare oszukaństwa;  
W tym tylko widać Greków dowcip dawny  
I z tego tylko Grek na Wschodzie sławny.  
Daremnie Wolność tylekroć zaklina,  
Aby skruszyli jarzmo poganina,  
By kark podnieśli, zgięty łańcuchami!  
Nie – Grecy! – nie mam litości nad wami.

Przecież z Grecyji wziąłem te powieści,  
Z czasów niedawnych i żałośnej treści.

\* \* \*

170 Z dala, wśród morza pogodnego błyska,  
Szybko pod cienie nadbrzeżne się wciska  
Statek; rybacy poznali z obrotów,  
Że to piratów statek lub Majnotów<sup>7</sup>;

---

<sup>6</sup> Ateny za panowania tureckiego były własnością Kizlar-agi, niewolnika serajowego i dozorca kobiet haremu. Eunuch rządził rządzą Aten.

Chcą z barką swoją w cieniach się przewinać  
I brzeg niepewny z daleka ominąć;  
Choć im trud dzienny osłabił ramiona,  
Choć rybim łowem barka przeciążona,  
Silnie wiosłują, rudel krzywią w stronę,  
Aż dopłynęli do Porto-Leone,  
Gdzie ich noc czeka, noc prawdziwie godna  
Kraju wschodniego – cicha i pogodna.

\* \* \*

- 180 Kto tam grzmi konno po skalistej drodze? –  
Wygięty naprzód, na wiatr puścił wodze,  
Kopyt tętent jak grzmoty po grzmotach  
Wciąż budzą echa drzemiące po grotach.  
Koń jak kruk czarny, a na bokach piana,  
Jak gdyby świeżo z morza zszumowana.  
Wieczór już uśpił fale morskich toni,  
Ale nie serce tej dzikiej pogoni.  
Groźnie na jutro niebo się zachmurza,  
Ale groźniejsza w sercu Giaura burza.
- 190 Nie znam cię, rodu twego nienawidzę,  
Ale w twych licach takie rysy widzę,  
Które w pamięci kiedy się raz wrażą,  
Z czasem się głębiej werzną, lecz nie zmażą.  
Tyś młody, blady, lecz namiętne bole  
Gorzały długo na twym smagłym czole.  
Złe oko twoje choć mnie nie urzekło,  
Choć jak meteor błysnąwszy uciekło,  
Zgadłem, że Turek takiego człowieka  
Powinien zabić – lub niech sam ucieka.
- 200 Tam – tam – poleciał – śladem jego biegu  
Szły mimowolnie oczy me wzdłuż brzegu,  
A chociaż z taką szybkością prześcignął,  
Choć jak latawiec tylko w oczach mignął,  
Jego wzrok, jego twarz na kształt pieczęci  
Wciśnione czułem w głąb mojej pamięci.  
I długo w uchu huk kopyt słyszałem  
Czarnego konia lecącego czwałem.
- 210 Spiał ostrogami, wbiegł na wierzch opoki  
Ocieniającej głębinę zatoki,  
Obleciał wkoło, znowu na dół gonił,  
Skałą od moich oczu się zasłonił.  
Zgadłem, dlaczego: temu, co ucieka,  
Jest obrzydliwą źrenica człowieka;  
On najpiękniejsze na niebiosach gwiazdy  
Klnie, że zdradzają ścieżki jego jazdy.

---

<sup>7</sup> Majnoci, mieszkańcy dawnej Lakonii; czyli rzeczywiście pochodzą od Spartanów? – wiele o tym pisali uczeni.

Zbiegając z góry, nim konia nawrócił,  
 Spojrzenie straszne, jak ostatnie, rzucił.  
 I wybiegł znowu, znowu w górę skoczył.  
 Wtem nagle stanął, konia w bok zatoczył  
 220 I patrzy z góry, na strzemionach staje –  
 Czegóż on patrzy, tam, w oliwne gaje?  
 Księżyc na nowiu wschodzi z za gór grzbietów,  
 Błyszczą nad miastem lampy minaretów,  
 W mieście wre teraz Bajramu uciecha;  
 Tu, choć nie dojdą ni wystrzałów echa,  
 Ni muzułmanów pobożne okrzyki,  
 Przecież błysk widać każdej tofaiki<sup>8</sup>.  
 Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,  
 Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu<sup>9</sup>,  
 230 Dziś... Lecz ty, Giaurze, kto jesteś? co znaczy  
 Twój ubiór obcy – i twój wzrok rozpaczy?  
 Co cię obchodzi Bajram? po co czekać  
 Naszego święta lub przed nim uciekać? –  
 On stał – wtem nagły strach lica mu ścisnął  
 I strach ten nagle wściekłością zabłysnął.  
 A blask ten nie był jak rumieniec nikły  
 Gniewów, co wschodzić i przemijać zwykły,  
 Ale jak bladeść marmurowej bryły  
 Powiększająca ciemnotę mogiły.  
 240 Brwi nasunione, osłupiałe oko.  
 Wtem rękę dźwignął i podniósł wysoko,  
 I na wiatr miotał, jakby groził gniewny.  
 Stał, czy uciekać, czy gonić, niepewny;  
 A wtem koń zarżał, niecierpliwy zwłoki,  
 I rzenie echem odbiły opoki.  
 Giaur za miecz porwał i szcęk rękojeści  
 Wybił go nagle z tej niemej boleści,  
 Jak zbójcę budzi krzyk sowy złowrogi;  
 Znowu koniowi w bok wraził ostrogi:  
 250 Dalej, w cwał, koniu, tu idzie o życie! –  
 Znowu koń czarny zagrzmiał po granicie;  
 Chyży jak dziryty<sup>10</sup> – leci wzdłuż zatoki,  
 Dalej ku morzu – wpadł między opoki.  
 Nie widać twarzy – znikła strusia kita,  
 Na chwilę grzmiące ucichły kopyta.  
 Raz tylko wstrzymał rumakowi wodze  
 I nieruchomy chwilę stał na drodze,  
 Chwilę – i znowu opoka zagrzmiała,

<sup>8</sup> Tofaika, strzelba turecka.

<sup>9</sup> Ramazan jest to wielki post turecki; Bajram – wielkie święto, które obchodzą na kształt naszego karnawału. O zachodzie słońca początek Bajramu ogłasza się wystrzałem z harmaty; potem trwają całą noc iluminacje meczetów i wystrzały wiwatowe różnej broni.

<sup>10</sup> Dzeryd jest to pocisk na końcu tępy. Jezdni muzułmańscy rzucają go z konia, bardzo silnie i trafnie; jest to ich ulubiona zabawa; nie wiem, czy można ją nazwać zabawą rycerską, bo najrzeczniejsi dzerydyści w Konstantynopolu są czarni rzezańcy. Pamiętam też Mameluka ze Smyrny, który w tym igrzysku Turków zwyciężał.

Giaur poleciał, jakby go śmierć gnała.

- 260 Straszna to chwila, w której duch rozkręci  
Za jednym razem cały zwój pamięci  
I w jedną drobną kroplę czasu zleje  
Życia bolesne i zbrodnicze dzieje!  
Kto nienawidzi, kocha się lub boi,  
Temu za piekło jedna chwila stoi.  
Cóż on czuł wtenczas, gdy trapiące duszę  
Wszystkie od razu wycierpiał katusze?  
Chwila spoczynku, wśród potoku zdarzeń,  
Kto zliczy, ile mieści wyobrażeń? –  
270 Bo choć dla czasu zdaje się nicością,  
Ona dla myśli jest całą wiecznością.  
Bo nieskończone, niezmiernie cierpienie  
Może w myśl jedną zgromadzić sumnienie  
I w jednej chwili wycierpieć od razu  
Bole bez końca, nadziei, wyrazu!

\* \* \*

- Przeszła godzina – Giaur jak cień przeminął.  
Uciekł? czy zginął? czy sam tylko zginął? –  
W czarnej godzinie przybył, jak zesłana  
Od niebios kara za grzechy Hassana,  
280 Przyszedł i smętarz zrobił z baszy domu,  
Przyszedł i odszedł jak wichur Symomu<sup>11</sup>,  
Co wieje bożym obciążony gniewem  
I za którego śmiertelnym powiewem  
Cyprys umiera, choć jest śmierci drzewem,  
Choć wiosną nawet nie zruca żałoby,  
Jeden, co wiernie oplakuje groby!

\* \* \*

- Nie masz rumaków na stajniach Hassana,  
Komnata jego od sług odbieżana,  
Pająk samotnik na ścianach się czepia  
290 I szpary szarym całunem zasklepia.  
W twierdzy Hassana nie widać żołnierzy,  
W jego haremach gniazdo niedoperzy,  
Zamiast strażnika puszczyk krzyczy z wieży.  
W ogrody czasem dziki pies przybieży,  
Spragniony wyje na suchą fontannę;  
Stoją wód łoża z marmuru usłane,  
Lecz owdowiałe – bo zdroje wymarły,  
Zielska się dzikie na dnie rozpostarły.

---

<sup>11</sup> Simum, wiatr pustyni śmiertelny wszystkiemu, co tchem swoim owionie. Poeci wschodni wiele o nim piszą i różne mu dają nazwiska.

300      Niegdyś jak wdzięcznie fontanny tu grały  
Łagodząc nieba wschodniego upały,  
Niegdyś, tryskając srebrnej rosy tęczę  
I fantastyczne wirując obręcze,  
Rozkosznym chłodem rzeźwiły dokoła  
Powietrze, ziemię i spragnione zioła.  
Jak było mile blaski gwiazd pogodnych  
Widzieć odbite na tych łukach wodnych,  
Słuchać muzyki tych szemrań łagodnych!  
Tu często Hassan w niemowlęcym wieku  
Bawić się lubił u kaskady ścieku;

310      Tu, drzemiącemu w matki swej objęciu,  
Piastunka woda śpiewała dziecięciu.  
Hassan młodzieniec na te wodotryski  
Poglądał, siedząc obok odaliski,  
I śpiew jej miłsze zdawał się mieć tony,  
Gdy był do szmeru kaskad nastrojony.  
Lecz Hassan stary nigdy sennej skroni  
Wieczorem u tej kaskady nie skłoni:  
Z marmurów woda uciekła chłodząca,  
Z serca Hassana wyszła krew gorąca.

320      Tu nie usłyszysz już głosu człowieka,  
Nikt się nie śmieje, nie klnie, nie wyrzeka:  
Ostatni ludzki głos, echem odbity,  
Był to krzyk na śmierć ciągnionej kobiety.  
Głos skonał – odtąd milczą te pałace,  
Wiatr tylko oknem otwartym kołace.  
Lecz choć wiatr szumi, choć się nieba chmurzą,  
Już tu nikt okna nie zamknie przed burzą.

Cieszy się pielgrzym, gdy w stepach odkryje  
Ślady na piasku, chociaż nie wie czyje;

330      Tu, gdyby ludzki jęk odbiły echa,  
W jęku tym jakaś byłaby pociecha,  
Ten jęk by mówił: «Nie wszystko skonało!  
Jedno tu życie ludzkie pozostało».  
Jeszcze w tych gmachach znalazłbyś wspaniałe  
Izby i sale puste – dotąd całe.  
Dach jeszcze cały, chociaż rak zniszczenia  
Roztacza ciągle ściany i sklepienia.  
Lecz Zgroza siedzi przed bramą na straży,  
Sam fakir do wrót zbliżyć się nie waży,

340      Derwiz ubogi nie przestąpi progu  
Za chleb i za sól podziękować Bogu<sup>12</sup>;  
Nędza i Zbytek uchodzą na stronę,  
Nie powitane i nie ugoszczone;  
Pałac, gościna wiernego narodu,

---

<sup>12</sup> Na Wschodzie, skoro gospodarz chleb z podróżnym rozłame i solą z nim podzieli się, już go przyjmuje za gościa; chociażby w gościu poznano nieprzyjaciela, już osoba jego jest poświęcona i od wszelkiej krzywdy bezpieczna.

Stał się jaskinią zniszczenia i głodu.  
Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana<sup>13</sup>,  
Od czasu gdy miecz Giaura ciął w turban Hassana.

\* \* \*

Słyszę dźwięk z dala końskiego kopyta,  
Jadą podróżni, lecz mnie nikt nie pyta.  
350 Już bliżej – Turcy – już widzę turbany  
I w srebrem kutych pochwach atagany<sup>14</sup>.  
Wódz ich na przedzie w bogatym zawoju,  
Zapewne emir, bo w zielonym stroju<sup>15</sup>.  
«Ho! kto ty?» – «Salem! waszej jestem wiary<sup>16</sup>,  
Emirze; widzę, że wiesz towary;  
Widzę, że wór twój jest ciężko ładowny,  
Ostróżnie wiesz – musi być kosztowny.  
Może do portu śpieszysz dla noclegu? –  
Jestem przewoźnik – mam łódkę u brzegu».  
360 «Zgoda – rzekł emir – pośpieszaj, czas nagli,  
Odbijem cicho, nie rozpinaj żagli,  
Niech leżą zwite; wiosłami uderzaj  
I szybko, cicho podnad brzegiem zmierzaj,  
I wieź nas prosto pomiędzy opoki,  
Tam, na sam środek najgłębszej zatoki. –  
Teraz odpocznij – dobre masz ramiona,  
Podróż i zręcznie, i prędko skończona.  
Lecz ona – zacznie podróż dalszą, z której...»

Rzucili w wodę –

370 Ciężko plusnęło – i powoli tonie –  
Rozstały się wkoło szklane błonie,  
Zważałem ciężar: dziwnie mi się zdało –  
Ruszył się – pewnie morze nim ruszało.  
Może to było księżycyca błysnienie,  
Nagle odbite o morza przestrzenie;  
Patrzyłem ciągle, i wodne obręcze  
W mniejsze i węższe ścisnęły się tęczę,  
Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna;  
Na koniec w środku wyszła bańka wodna –  
380 Perłowe kółko – błysnęło – przepadło.

---

<sup>13</sup> Ludzkość i litość dla ubogich nakazana jest Koranem muzułmanom. Wyznać należy, że znaleźć można często przykłady tych cnót między Turkami. Zwyczajnie, jeżeli kto chce chwalić Turka, wystawia naprzód jego szczodrość, a potem męstwo.

<sup>14</sup> Atagan jest to długi sztylet, który Turcy obok pistoletów na pasie zawieszają. Pochwy atagana są pospolicie z metalu, często ze srebra, a u bogatych wyłacane lub szczerozłote.

<sup>15</sup> Pomiędzy muzułmanami tylko ci, którzy uchodzą za potomków Mahometa, mają prawo nosić suknie zielonego koloru

<sup>16</sup> Aleikum salam znaczy: pokój z tobą. Tymi wyrazami Turcy witają się między sobą. Chrześcijan pozdrawiają słowem: Urlarula – szczęśliwa droga, albo: [saban] hiresem, saban serula – dzień dobry, dobry wieczór.

Znowu zatoka gładka jak zwierciadło.  
I tajemnica usnęła w topieli –  
Genjuszowie morscy ją widzieli,  
Lecz, drżąc z przestachu. w swych domach z koralu,  
Nic o tym z żadną falą nie gadali.

\* \* \*

Jak król motylów, za wiosny powrotem<sup>17</sup>,  
Na skrzydłach jasnych purpurą i złotem  
Znad szmaragdowej Kaszimiru błoni  
Wzlatuje, dzieci wabiąc do pogoni,  
390 I z ziół na zioła, i z kwiatów na kwiaty  
Ciągnie myśliwców, i myli ich czaty,  
Wreście uleci i niknąc w obłoku  
Zostawia żal w sercu i łzy w oku:  
Podobnie piękność wabi starsze dzieci,  
Tak bystro lata i tak wdzięcznie świeci,  
To łowców trwoży, to nadzieją mami,  
Gonią wesoło – łowy kończą łzami.  
Lecz jeśli w ręce myśliwemu wpada,  
I motylowi, i piękności biada!  
400 Chcąc uciec darmo skrzydełka natęży,  
Igraszka dziecka lub ofiara męża.  
Cacko, za którym żądza chciwie goni,  
Straciło urok, gdy je mamy w dłoni –  
A gdy wdzięk barwy i świeżość przeminie,  
Rzucim, niech leci – lub samotnie ginie.  
Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,  
Czyli ofiarom swobodę zostawisz?  
Motyl odartym skrzydełkiem czyż może  
Latać jak dawniej z fijołków na róże?  
410 Z pięknnością, w jednej uwiędł godzinie,  
Czyż razem pokój na wieki nie zginie? –  
Zgraja motylów, co pod niebem lata,  
Nie szuka w dole zranionego brata.  
Płeć piękna dla nas ma litości tyle,  
Lecz dla płci własnej ma serce motyle!  
Piękność nad każdym nieszczęściem łzy leje,  
Nad siostr upadkiem – tylko się zaśmieje.

\* \* \*

Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem  
Jest jak skorpion opasany żarem<sup>18</sup>;

<sup>17</sup> Motyl kaszimirski, najpiękniejszy i najrzadszy z motylów.

<sup>18</sup> Powszechne jest mniemanie, że skorpion otoczony żarem sam siebie żądłem zabija. Naturaliści sprzeczą się dotąd, czy owad popełnia samobójstwo dobrowolnie, czy tylko, wpadłszy w konwulsje, mimowolnym ruchem żądła ranę sobie zadaje. Dla dobra skorpionów życzyć by należało, aby to pytanie

- 420 Krąg coraz mocniej zwięża się i błyska,  
I więźnia coraz gwałtowniej dociska,  
Aż gdy go zewsząd na wylot przepieka,  
Skorpion cierpi, dąsa się – i wścieka.  
Jeden mu został sposób wyjść z pożogów:  
Ma żądło, które wyostrzył na wrogów,  
Które trucizną pewną rany poi,  
Jeden ból zada i wszystkie wygoi,  
To żądło więzień topi w głowie swojej.  
Podobnie dusza zła kona w cierpieniach
- 430 Lub żyje jako skorpion w płomieniach.  
Bo kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni,  
Świata niezdatni, a nieba niegodni,  
Rozpacz nad nimi, pod nimi noc gruba,  
Wkoło płomienie – a w pośrodku zguba.

\* \* \*

- Ponury Hassan z haremu ucieka,  
Pieszczot, widoku kobiet się wyrzeka.  
On w lasach trudy myśliwców podziela,  
Ale nie może dzielić ich wesela. –  
Dawniej polować nie miał we zwyczaju,
- 440 Póki Leila mieszkała w seraju.  
Dziś, czy Leila uszła? czy nie żyje? –  
Hassan wie tylko, lecz sam w sobie kryje.  
Różne powieści krążą między gminem –  
Słysząc, że uszła z Wenecyaninem.  
W dzień Ramazanu, gdy zapadło słońce,  
A z minaretów jasnych lamp tysiące  
Bajram na całym obwieściły Wschodzie,  
Leila poszła kąpać się w ogrodzie  
I nie wróciła – szukano daremnie.
- 450 Mówią, że z Giaurem zeszła się tajemnie,  
Wsiadła z nim na koń za pazia przebrana  
I w noc Bajramu zbiegła z państw sułtana.

- Od dawna Hassan miał ją w podejrzeniu;  
Ale w jej oczach i w jej uściśnieniu  
Tyle wyczytał miłości i wiary,  
Że znowu brance zaufał pan stary.  
Wieczorem poszedł w meczet na pacierze  
I w noc Bajramu jadł w kiosku wieszczkę.  
Tak powiadali czarni niewolnicy,
- 460 Niewierni pańskich haremów strażnicy.  
Lecz inni głoszą, że gdy padł mrok szary,  
Przy bladym świetle wschodzącej Fingary<sup>19</sup>

---

rozstrzygniono. Skoroby raz uznano, że skorpiony są katonami owadów, zostawiono by przecie w pokoju tych męczenników historii naturalnej.

<sup>19</sup> Fingary jest Febe, czyli księżyc wschodnich narodów.

Widziano Giaura na czarnym rumaku  
W cwał leżącego po nadbrzeżnym ślaku,  
Z cugłem spuszczone, skrwawioną ostrogą,  
Lecz nie wiozł panny ni pazia – ni kogo.

\* \* \*

- Oko jej czarne – i któż się ośmieli  
Wzrok ten malować? – te oczy gazeli  
Wielkie i słodkie, ciemne i błyszczące!
- 470 Dusza z nich mówi przez iskier tysiące,  
Które ze źrenic lecą przezroczystych  
Jako z Dżemczyda rubinów ognistych<sup>20</sup>.  
Dusza z nich mówi! Wbrew słowom Proroka,  
Że «postać niewiast jest ziemi powłoka» –  
Allachu! dusza mówi z tego oka!  
I choćbym w drodze ku lepsze mu światu  
Przechodził ostre mosty Alsyratu<sup>21</sup>,  
Wisiał nad piekła ognistym potokiem  
I cały rajski ogród miał przed okiem,
- 480 I w nim wabiące hurysy dziewice,  
Powiem: kto widział Leili źrenice,  
Ten Alkoranu nauk nie usłucha!  
Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?<sup>22</sup>  
Jest cackiem, z którym bawi się, mężczyzna? –  
Niech na nią spojrzysz sam mufty, a wyzna,  
Że nieśmiertelność wygląda z jej źrenic.  
Na jej obliczu cudowny rumieniec  
Wiecznym i świeżym błyszczy się szkarłatem,  
Jakby granatów posypany kwiatem.
- 490 Jej włosy jako hijacynty płyną;  
Gdy okolona rówiennic drużyną  
Stanie, nad wszystkie głową wyniesiona,  
I da warkoczom płynąć przez ramiona,  
Włosem zamiata ślad swój na marmurach,  
Ślad nóżki bielszej niżli śniegi w górach,

<sup>20</sup> Sławny rubin sułtana Dżemczyda w powieściach wschodnich zowie się Szebczerag, pochodnią nocy, pucharem światłości etc.

<sup>21</sup> Alsyrat; podług mitologii wschodniej, jest to most tak wąski jak nitka pajęcza; na tym moście będą musieli Turcy przechodzić do raj; zamiast rzeki, ciągnie się u spodu przepaść piekielna. Do tego przejścia można by zastosować ów Wirgiliusza *facilis descensus Averno*. Pod tym mostem pajęczym ma być drugi, jeszcze węższy, dla chrześcijan i żydów.

Persowie szczególnie boją się owego mostu: «Jeżeli biedny Pers (powiada Chardin) poniesie krzywdę, której dochodzić na tym świecie nie widzi sposobu, wtenczas apeluje ciemnościela na sąd straszny. Odpłacisz ty, woła, na moście Pal-Serho; tam ci postawię nogę albo uczepię się do poły twoich sukien. Widziałem nieraz, że ciemnościel, lękając się takiego aresztu, przeproszał pokrzywdzonego; i sam nieraz używałem skutecznie podobnej groźby» etc.

<sup>22</sup> Mylne jest to mniemanie, że Mahomet nie zostawia kobietom nadziei przyszłego życia; owszem, wyznacza im na przytułek trzecią część raj. Wszakże niektórzy wykładacze Koranu, wykreśliwszy tekst Proroka, nie przyznają kobietom duszy nieśmiertelnej.

Kiedy z rodzinnych obłoków wylecą  
I ziemią jeszcze nie skalane świecą.  
Jako monarcha ptaków Frangestanu<sup>23</sup>,  
Łabędź, podnosi głowę z oceanu  
500 I pysznie skrzydłem uderza po fali,  
Skoro dostrzeże podróżnika w dali:  
Z taką powagą ona zwraca głowę  
I śnieżne ramię, i piersi perłowe,  
I z taką piękną dumą wzrokiem miota,  
Gdy na nią oczy śmie zwrócić pustota.  
Cofną się, blasku wytrzymać nie mogą,  
Pochlebiać chciały, upadają z trwogą.

Jak była oczom piękną Gruzujanka,  
Tak miała serce czułe dla kochanka.  
510 Kochanka? Któż jej kochanek? – Hassanie,  
Ty nim nie jesteś, dziki muzułmanie!

\* \* \*

Ponury Hassan dał rozkaz podróży;  
Oddział wasalów, co mu w dworcu służy,  
Jak orszak i straż pojedzie za panem;  
Każdy z janczarką, z łukiem, z ataganem.  
Hassan sam zbrojny jedzie na ich czele,  
Zwiesił na pasie krzywą karabelę,  
Wypróbowaną na albańskich głowach,  
Kiedy raz zbójców napotkał w parowach  
520 I tak rozgromił muzułman zwycięski,  
Że ledwie kilku uszło z wieścią kłęski.  
Za pas dwa zatknął, bogato oprawne  
W perły i w złoto, pistolety sławne:  
Hassan przed laty dostał je od baszy,  
Ich widok zbójców i wabi, i straszy.  
Mówią, że Hassan jedzie pojąć żonę,  
Pocieszyć znowu serce zakrwawione  
Zdradą Leili, co uszła z haremu  
I dziś, o zgrozo! służy niewiernemu.

\* \* \*

530 Ostatnim blaskiem zachodniego słońca  
Złocą się góry i kaskada grzmiąca,  
Żywiona czystym i świeżym gór śniegiem.  
Tu często kupiec Grek staje noclegiem,  
Znajdując pokój w ustroniu głębokiem  
Pewniej niż w mieście pod swych panów bokiem;  
Tu się nie lęka o całość swej skrzyni;  
W miastach niewolnik, wolny na pustyni.

---

<sup>23</sup> Frangestan, kraj Czerkasów.

Tu wesół spróżnia czasę pełną wina,  
Którym się brzydzą usta moslemina.

- 540 Najpierwszy jedzie Tatar, wódz orszaku,  
Z daleka widny po złotym kołpaku,  
Opodał konni ciasną jamy szyją  
Po krętej ścieżce na skałę się wiją.  
Nad nimi sterczą w górę czarne szczyty,  
Gdzie sępy ostrzą dzioby o granity  
I lecą na dół; już zwietrzyli łupy;  
Nim zajdzie słońce, będą świeże trupy.  
U spodu rzeka, która w zimie bucha  
Ogromną wodą, a w upały sucha  
Nagie i czarne łono swe odsłania
- 550 I kilka kaskad srebrzystych pochłania.  
Wokoło ścieżki kawały granitu  
Leżą bezładnie, strącone ze szczytu;  
Czas je pospychał albo zbiły gromy.  
Wierzch skały niknie we mgłę niewidomy,  
Bo żaden z ludzi czoła Lijakury,  
W pogodę nawet, nie widział bez chmury.  
Już w gaj wjechali i po kilku chwilach  
Dojdą wierzchołka; już krzyczą: «Bismillah!»<sup>24</sup>
- 560 Tu już bezpiecznie, stąd już widać błonie;  
Wkrótce w dół zjedziem, na wiatr puścim konie».  
Gdy czausz tak mówił – ogień z góry błysnął,  
Nad uchem ołów niewidzialny świsnął,  
Tatar przewodnik wyleciał z kulbaki.  
Ledwie czas mają zatrzymać rumaki,  
Skoczyli z siodeł, janczarki odwiedli,  
Ale trzech spadło pierwej, niżli zsiadli,  
Z rąk niewidzialnych rany odbierają  
I ginąc, darmo o zemstę wołają.
- 570 Dobyli szabel, na rumaków karkach  
Na odwiedzionych wsparli się janczarkach,  
Na pół wciśnieni między końskie boki;  
Inni uciekli pod ścianę opoki  
I tam ręcznego czekają spotkania,  
Nie lubiąc służyć za cel do strzelania  
Wrogom, co bronią niewidzialną rażą,  
A wstępnym bojem spotkać się nie wazą.
- 580 Sam Hassan został; z konia zsiąść nie raczy,  
Spokojnie jedzie, aż z przodu obaczy  
Błask ręcznej broni; rozbójników zgraja  
Strzela wzdłuż drogi, z przodu się zaczaja,  
I z tyłu słyhać z janczarek łoskotu,  
Że mu przecięto drogę do odwrotu.

---

<sup>24</sup> Bismillah, w imię Boga; od tych słów zaczynają się prawie wszystkie rozdziały Koranu i wszystkie modlitwy i dziękczynienia muzułmanów.

Więc wściekły brodę od gniewu najeżył<sup>25</sup>  
 I wkoło wzrokiem ognistym uderzył.  
 «Choć wrogi wkoło, choć gęste wystrzały,  
 Jam z krwawszych bitew nieraz wyszedł cały».  
 Zbójcy wychodzą, stają na skał szczycie:  
 «Rzucaj broń – krzyczą – komu miłe życie!» –  
 590 Ale Hassana oczy i rozkazy  
 Straszniejsze niżli nieprzyjaciół razy,  
 I z garstki szczupłej, ale wiernej panu,  
 Żaden nie rzucił swego ataganu  
 I żaden podle nie krzyknął: «Amanu! » –  
 Nieprzyjaciele coraz bliżej godzą,  
 Razem ze wszystkich zasadzek wychodzą,  
 A z gęstwi lasu dowódca orszaku  
 Leci sam przodem na dzielnym rumaku.  
 Któż ten dowódca? – strój nosi albański,  
 600 Ale miecz prosty, miecz to chrześcijański.  
 «Znam go, znam Giaura – wściekły Hassan woła –  
 Znam go, poznałem ze smagłego czoła,  
 Poznałem czarne, złowrogie źrenice<sup>26</sup>,  
 Jego nikczemnej zdrady pomocnice;  
 Konia czarnego znam, choć leci pędem,  
 Chociaż nakryty arnauckim rzędem.  
 Podły odstępczo twojej podlej wiary!  
 Teraz cię turban nie zbawi od kary.  
 Gdziekolwiek spotkał, w jakiegokolwiek chwili,  
 610 Dobrze, żem spotkał zdrajcę mej Leili».

Jak się wezbrana rzeka w morze leje  
 I morską burzę spotkawszy szaleje,  
 Łamią się fale, drżą opoki brzegu,  
 A nurty ryczą pod pianami śniegu:  
 Tak się spotkały wrogów zgraje obie,  
 Losem i gniewem gnane przeciw sobie;  
 Szable nad uchem grzmią, lecąc w kawały,  
 Huczą po skałach dalekie wystrzały;  
 Starcia się łoskot i karabel dźwięki,  
 620 Huk karabinów, konających jęki  
 Echo żałośnie po dolinie szerzy,  
 Przywykłej tylko do śpiewów pasterzy!  
 Liczba niewielka, lecz bitwa straszliwa,  
 Nikt przebaczenia nie daje, ni wzywa.  
 Paro kochanków, mocne są tve sploty,  
 Gdy się ściskacie podzielać pieszczoty!  
 Lecz nie tak cisną miłości ramiona,

<sup>25</sup> Zwyczajne symptoma gniewu u Turków. W roku 1809, na audiencji dyplomatycznej, nagle wąsy Kapudana baszy najeżyły się jak u tygrysa; drogmani pobledli od strachu, szczęściem wąs powoli opadł i obwisnął; zostało więc na karkach może tyle głów, ile było włosów w owych wąsach.

<sup>26</sup> O złych oczach i urzekaniu złym okiem powszechna jest wiara między ludem w Turcji i w wielu innych krajach.

Gdy w nich spoczywa piękność ulubiona,  
Jako się barki zwiążą nienawisnie,  
630 Kiedy wróg wroga ostatni raz ściśnie. –  
Przyjaźń ostygnie, pieszczota się skończy,  
Objęcia wrogów i śmierć nie rozłączy.

Z szablą po samą rękojęść uciętą,  
Krwia opryskaną i mocno ujętą  
W sinej, od ciała odrąbanej dłoni,  
Co jeszcze drgała nie puszczając broni;  
Obok turbana, którego zawoje  
Miecz Giaura zerwał i przerznął na dwoje,  
640 W deliji długiej, zmiętej, rozpostartej,  
Od mnogich razów na sztuki podartej,  
Zaczerwienionej jak chmury przed burzą,  
Gdy po dniu jasnym burzliwą noc wróżą;  
Krwia zlawszy piasek i gałęzie boru,  
Gdzie wiszą szmaty jego palamporu<sup>27</sup>,  
Z piersią przebitą i otwartą ciosom,  
Barkami na wznak, twarzą ku niebiosom,  
Tak leżał Hassan – oczy już zbieleły,  
Jeszcze otwarte, Giaura wyzywały.  
650 Giaur stanął nad nim i w Hassana lice  
Utopił równie straszne dwie źrenice.

«Tak! tyś pochował w falach mą Leilę,  
Jam cię pochował w czerwonej mogile.  
Jej duch kierował mieczem; jej morderca  
Uczuł raz pierwszy, co to jest ból serca;  
Proroka wołał, ale nadaremnie,  
Prorok twej głowy nie wyrwie spode mnie.  
Allacha wołał, wiatr prośbę rozdmuchał,  
Allach nie słyszał albo nie wysłuchał,  
660 O psie pogański! czyż Opatrzność, głucha  
Na krzyk Leili, twych krzyków usłucha? –  
Zbójcą. zostałem! jeździłem na zwiady,  
Aż w końcu zdrajca padł ofiarą zdrady,  
Jam spełnił swoje, zemścił się nad tobą.  
A teraz, dalej – w świat – jadę sam z sobą». –

\* \* \*

Na polu słyhać brzęk dzwonek wielbłąda;  
Matka w ogrodzie z altany wygląda.  
Na łąkach błyszczą już wieczorna rosa,  
Już ku wschodowi ciemnieją niebios  
I rozniecają drżących gwiazd ognisko.  
670 Już wieczór. – Hassan zapewne już blisko.

---

<sup>27</sup> Palampor, szal, który noszą baszowie i znakomite osoby.

Matka stroskana zstępuje i bieży  
Do swych haremów, i pogląda z wieży:  
Nie widać! nie zwykł jeździć tak pomału –  
Nie zwykł popasać nawet w czas upału.  
Nie przysłał darów ślubnych – czy się lenił?  
Czy konie strudził? czy serce odmienił?  
Skarga niesłuszna. – Już Tatar posłaniec  
Widny z daleka, już na skały kraniec  
Wstępuje zwolna – już zjeżdża z urwiska  
680 I wężozami na dół się przeciska  
Koń nic nie winien, koń pewnie z ciężarem,  
Zapewne ślubnym objuczony darem.  
Tatara mile przyjmę i nagrodzę  
Za prędką jazdę po takiej złej drodze.

W bramie zsiadł Tatar, od siodła odpina  
Juki niewielkie: czy to dary syna?  
Na twarzy smagłej bladość: czy to smutek?  
Czy podróznego utrudzenia skutek?  
690 Odzież spryskana krwi świeżej kroplami:  
Może poranił konia ostrogami?  
Rozwinął pakę – o aniele święty!  
O Azraelu! to zawój rozcięty!  
To syna szaty, całe krwią zbroczone!  
«Pani, okropną twój syn pojął żonę,  
Mnie oszczędziły ręce poganina,  
Bym ci pokazał krew twojego syna.  
Legł śmiercią mężnych, pokój Hassanowi!  
Przekleństwo wieczne zabójcy Giaurowi!» –

\* \* \*

700 Turban w kamieniu prostym wyrzeżany<sup>28</sup>  
I słup już dzikim zielskiem opasany,  
Na nim z Koranu modlitwa wyryta,  
Którą dziś ledwie podróżny wyczyta:  
To cały pomnik w bezludnej ustroni,  
Gdzie Hassan zginął od niewiernej broni.  
Zacny Osmanlis; nikt między wiernymi  
Przykładniej świętej nie nawiedził ziemi,  
Nikt bardziej winem nie gardził wyklętym  
I nikt pobożniej ku przybytkom świętym  
710 Twarzy nie zwracał, gdy na świątyni dachu  
Słyszał wołanie: «Illa-hu, Alla-hu!»<sup>29</sup>

Z rąk cudzoziemca wziął śmiertelne rany

<sup>28</sup> Takie są proste nagrobki Turków. Często spotyka je podróżny w dzikich ustroniach pomiędzy skałami; oznaczają mogiły poległych w czasie buntu albo zamordowanych od zbójców.

<sup>29</sup> Illa-hu, Alla-hu, tymi słowami kończy się wzywanie na modlitwę, czyli izan obwoływany z wież minaretów.

I śród ojczyzny leży jak wygnany,  
Z dala od domu, na bezdrożu dzikiem;  
Ani się pomścił nad swym rozbójnikiem.  
Lecz duch Hassana już rajske dziewice  
Wiodą w rozkoszy wiecznej okolice,  
Okiem błyskają ku niemu jak słońcem,  
Wiecznie pogodnem i nie zachodzącem.  
Biegą, zielone chustki wywijają,  
720 Pocałunkami rycerza witają;  
Bo raj rozkoszy zgotowany temu,  
Kto zginął walcząc przeciw niewiernemu.  
Lecz ty, niewierny! ciebie anioł śmierci,  
Monkir, swą kosą rozerwie na ćwierci<sup>30</sup>,  
Potem zawlecze na nowe katusze  
Przed tron Eblisa twą przeklętą duszę<sup>31</sup>.  
Tam ogień, wiecznych męczarni narzędzie,  
Ciało twe palić, w duszy goreć będzie;  
Słuch nie obejmie, język nie obwieści,  
730 Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści.

Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem<sup>32</sup>  
I trup twój, z grobu wylażąc wieczorem,  
Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,  
Powinowatych spijać krew niewinną.  
Tam, na rodzeństwo własne zajuszony,  
Wysiesz krew swojej siostry, córki, żony;  
Ścierw twój zasilisz cudzym życia zdrojem,  
Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem.  
A twe ofiary rozstając się z światem  
740 Poznają, że ich ojciec był ich katem;  
Przeklną cię, twoje usłyszą przeklestwa;  
I na pniu wyschnie szczep twego rodzeństwa.  
Ostatnia twoja ofiara na świecie  
Będzie twa córka, najmilsze tve dziecię,  
Ona konając krzyknie na cię: «Ojczy!» –  
I krzyk ten ściśnie usta dzieciobojcze,  
Ale ssać muszą, dopóki się żarzy  
Ogień w źrenicach, rumieniec na twarzy;  
Aż ujrzysz w końcu, jak szklana powłoka  
750 Zamrozi, zaćmi ostatni blask oka.  
Natenczas ręką przeklętą z jej głowy  
Oderwiesz włosów warkocz bursztynowy;  
Z tego warkocza pukiel darowany  
Może na sercu nosi jej kochany,

---

<sup>30</sup> Monkir i Nekir, podług muzułmanów, są to wielcy inkwizytorowie ciągnący śledztwo z nieboszczyków. Jeżeli z odpowiedzi grzesznika przekonają się o jego winach, wtenczas Monkir kosą ciągnie go do góry, a Nekir maczugą na dół strąca.

<sup>31</sup> Eblis, Pluton muzułmanów

<sup>32</sup> Wiara w upiory powszechna na Wschodzie. Turcy zowią je wardulacha; Grecy równie ich się boją i mnóstwo o nich prawią strasznych powieści.

A ty dziś w piekle złożysz jego szczątki,  
Jak samobójstwa twojego pamiątki.  
Krwiają twoją własną, najmiłszą ociekły,  
Gryząc twe usta i zgrzytając wściekły,  
Wrócisz się znowu pomiędzy grobowce;  
760 A tam upiory, twoi współwędrowce,  
Gule, Afryty, spotkają cię w mroku.  
I oni twego zląkną się widoku,  
I do podziemnych skryją się otworów  
Spotkawszy widmo, brzydsze od upiorów.

\* \* \*

Jak się ten zowie kalajor ponury<sup>33</sup>? –  
Twarz mnie znajoma – raz go napotkałem  
W ojczyźnie mojej; leciał między góry  
Na dzielnym koniu, pominął mnie cwałem;  
770 Leciał, jak tylko zdoła koń wyskoczyć,  
Oblicze jezdca ledwie mogłem zoczyć –  
Lecz widać było z twarzy i wejrzenia,  
Że go opętał duch złego sumnienia.  
Nie chciałbym nigdzie zdybać takiej twarzy,  
Bo złą jest wróżbą spotkanie zbrodniarzy.  
I teraz strasznie wygląda ten człowiek,  
Jak gdyby śmierć mu patrzyła spod powiek.

Sześć lat minęło, jak przybył w te strony.  
Wszedł do klasztoru, czy światem znudzony,  
Czy za grzech jakiś pokutę odprawia,  
780 Ale przed nikim grzechu nie objawia.  
Nigdy on w ławkach podczas mszy nie siedzi,  
Nie chodził ani razu do spowiedzi,  
Ani się kłania przed Bogarodzicą,  
Ani przed ołtarz idzie z kadzielnicą:  
Dni całe siedzi zamknięty w ukryciu.  
Nie wiem o jego przygodach i życiu,  
Słyszałem tylko, że przybył ze Wschodu  
Tureckim statkiem od stron Carogrodu.  
Żeby był Turkiem, z twarzy się nie zdaje,  
790 Zna chrześcijańską mowę i zwyczaje –  
Pewnie skruszony jaki apostata  
Dziś oplakuje przeszłe błędów lata.  
Tylko że świętych obrazów się lęka,  
Przed Pańskim chlebem i winem nie kłęka;  
Dał wielki skarbiec, który może złupił,  
I tym gościnność w klasztorze zakupił.  
Lecz gdybym ja był na miejscu przeora,  
Albo bym wygnał tego kalajora,

---

<sup>33</sup> Kalajor lub kalojer, mnich grecki.

Albo w pokutnej zamurował celi,  
800 Tak żeby o nim ludzie nie wiedzieli.  
Często on marzy, bezprzytomnie gada  
O pięknej pannie, która w morze wpada,  
Słyszy szcęk mieczów, strzały nad opoką  
I widzi Turka konające oko.  
Ilekróć na tym wierzchu skały stawa,  
Grozi mu z dołu jakaś ręka krwawa, –  
On sam ją widzi i, czyja, pamięta;  
Ręka pałaszem od ciała odcięta  
Wystaje z ziemi i kiwa nań w dali,  
810 Ażeby skoczył ze skały do fali.

\* \* \*

Spod mnichowskiego czarnego kaptura  
Świeci jak z grobu żrenica ponura,  
Czasem z ukosa błyskawice ciśnie  
I całą burzą dawnych lat zablýśnie;  
Barwa tych oczu co chwila się mieni.  
Chcą ją uważać widzowie zdziwieni  
I wnet uczują ten urok spojrzenia  
Wymowny, trudny do wypowiedzenia,  
Cechę umysłu, co niezgięty w dumie  
820 Zna swoją wyższość i pokazać umie.  
A jako ptaszek, gdy go wąż urzeczy,  
Trzepioce skrzydłem, ale nie uciecze,  
Tak widz ujęty w sidła jego wzroku  
Chce i nie może rozerwać uroku.  
Przed nim wpół trwożny braciszek umyka,  
Kiedy samego przypadkiem spotyka;  
Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem  
Zaraża wszystkich boleścią i grzechem.  
Przecież zbyt rzadko uśmiechać się raczy,  
830 Śmiejąc się, tylko urąga rozpaczy.  
Poruszy usta i drżące wnet przytnie;  
Widać, że radość już w nich nie zakwitnie  
I że uczucie wzgardy i niedoli  
Już nigdy szczerze śmiać się nie dozwoli.  
I tak też było – trupie jego śmiechy  
Nie są poczęte z serdecznej uciechy.  
Okropne lica! jakież być musiały,  
Kiedy za młodu namiętne gorzały? –  
Wiek jeszcze wszystkich rysów nie pozglądał,  
840 Tylko szpetnymi piękne poprzegradzał;  
Jeszcze niekiedy rumieniec w nich pała,  
Znaczno, że dusza nie całkiem szerniała.

Gmin widzi tylko w tym posepnym oku  
Świadectwo zbrodni i pieczęć wyroku;

Pilniejszy badacz odgadnie z wejrzenia  
Wielkość umysłu, zacność urodzenia,  
Dary, niestety, zbyt źle umieszczone,  
Skalane zbrodnią, smutkiem przetrawione.  
Był to przybytek nie podły, nie mały,  
850 Gdy w nim tak wielkie zalety mieszkały;  
Dziś został pustym, lecz poważnym gmachem,  
Ludzie nań lubią oglądać ze strachem.  
Chaty bez dachów w pustkach widzi co dzień  
I rzadko do nich zagląda przechodzień;  
Lecz wieża, legła w szturmie albo w burzy,  
Co się czarnymi ruinami chmurzy,  
Wzbudza podróżnych dumania i żale;  
Złamane łuki, opuszczone sale  
Wiele o dawnej powiadają chwale.

\* \* \*

860 W długiej kapicy fałdy obwinięty,  
Z cicha przez kolumn przesuwają się rzędy,  
Straszy patrzących i sam strachem zdjęty  
Staje i patrzy na święte obrzędy;  
Lecz gdy się ozwał u ołtarza dzwonek,  
Księża uklękli – cofa się w przysionek.  
Tam przy niepewnym pochodni promieniu  
Twarz jego blada połyska się w cieniu,  
Tam będzie czekał, aż się nieszpór skończy,  
Słucha śpiewania, lecz głosu nie łączy.  
870 Patrz! tam cień rzuca na bielone ściany.  
Kaptur opadły i włos rozczochrany,  
Gęsty i czarny bezładnie się wije,  
Jakby Gorgona swe najbrzydsze zmije  
Wyrwawszy z głowy splotła mu na skronie;  
Bo ten kalajor, choć mieszka w zakonie,  
Ślubu nie zrobił; więc nie strzyże głowy  
I nosi włosy jak człowiek światowy.  
Kapiec przywdział jako inne mnichy;  
Dał skarb na kościół, lecz zapewne z pychy;  
880 Nie z pobożności, hojnie kościół nadał,  
W którym ni razu pacierza nie gadał.  
Tam – patrz na niego – w dzwonek uderzono,  
Wszyscy uklękli, sakrament wzniesiono;  
Stoi jak posąg, i widać z postawy  
Wyraz rozpacz, wzdrganie i obawy.  
Ratuj nasz kościół, o święty Bazylu!  
Bośmy na karę bożą zasłużyli,  
Żeśmy takiego grzesznika wpuścili.  
Jeżeli zły duch czasem sobie sprawia  
890 Człowieczą postać, on tak się objawia.

Te oczy jego, na słowo kapłańskie,  
Nie są niebieskie ni ziemskie – szatańskie!

\* \* \*

Serce zbyt czułe – do kochania skłonne;  
Lecz nie zna, co to kochanie dozgonne,  
Długie cierpienia dzielić siły nie ma,  
Długich z rozpaczą walek nie wytrzyma;  
A twarde serce gdy miłość skaleczy,  
Tej rany nigdy już czas nie uleczy.  
Jako rodzimy kruszec od płomienia  
900 Wprzód się rozżarza, niżli zaczerwienia,  
Wrzucony w pieca płomieniste jamy  
Zgina się, miękczy, lecz zawsze ten samy;  
A potem wedle sztukmistrza rozkazów  
Służy do dania lub odbicia razów,  
Albo pierś twoją przed śmiercią zastawi,  
Albo pierś wroga śmiertelnie zakrwawi;  
Lecz gdy raz śmierci ukuto narzędzie,  
Ten, kto je ostrzy, niech ostrożnym będzie!  
Tak ogień uczuć i sztuka kobieca  
910 Najtwardsze serca zmiękcza i roznieca;  
Lecz raz nagięte, zmianom nie ulegnie  
I pierwiej pęknie, niżli się odegnie.

\* \* \*

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,  
Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie;  
Pustą pierś czując otchłanie dokoła  
Chce je zaludnić i o boleść woła;  
Bo nie dzielone – każde czucie nudne,  
I szczęście samo do zniesienia trudne!  
Serce w cierpieniach gdy samotność widzi,  
920 Chcąc mieć pociechę wszystkich znienawidzi.  
I jest to serce jak człowiek w mogile,  
Gdyby z letargu zbudził się na chwilę  
I czuł z wzdrygnięciem, że robactwo toczy  
Odżyłe jego oblicze i oczy,  
I nie miał siły bronić swych wnętrzności  
Od tych szkaradnych, niespodzianych gości.  
To serce jest jak pelikan, gdy leci  
Przez obszar pustyń do gniazda, do dzieci,  
Krew swą gotowy na żywność im przelać,  
930 Życie z głodnymi nieskapy podzielać;  
Już dziobem piersi rozranił szlachetne  
I widzi tylko swe gniazdo – bezdzietne.

Najsrońsze męki, które nędzni znoszą,  
Samotnej duszy zdają się rozkoszą,  
Sierocęj, stepem otoczonej dzikim,  
Trawiącej czucia nie dzielone z nikim.  
Któż by był niebios ciekawy widoku  
Bez słońca i bez żadnego obłoku? –  
Lepiej jest płynąć, choć się niebo chmurzy,  
940 Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy  
I gdy żywioły zakończyły wojnę,  
Być wyrzuconym na brzegi spokojne,  
W pustą zatokę i bez towarzyszy  
Późnego zgonu czekać w wiecznej ciszy;  
Lepiej raz przepaść w zaburzone fale,  
Niżli żyć gnijąc po trochu na skale.

\* \* \*

«Tys dni twe przeżył, ojciec spowiedniku,  
Licząc różańce, prawiąc msze bez liku,  
Za cudze zbrodnie błagając gniew boski,  
950 A sam nie znając zgryzoty ni troski,  
Prócz smutków krótkich, zwyczajnych w tym życiu;  
Siwy, spokojny, jak byłeś w powiciu!  
Przeraża cię walka uczuć dzika,  
Ilekróć zajrzysz w serce pokutnika,  
Choć jego skargę, jego łzę żałosną  
Przyjmujesz w duszę czystą i litośną.  
Moje dni krótkie na płaczu padole,  
Obfite w rozkosz, lecz płodniejsze w bole –  
Przecież pomiędzy rozkosze i trudy  
960 Przeszedłem życie nie doznawszy nudy;  
Na ucztach, w bojach, z kielichem, z kindziałem,  
Zawsze spokojność gnuśną pogardzałem.  
Dziś nic nie kocham ani nienawidzę,  
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę;  
A dzisiaj jeszcze wolałbym być gadem  
I pod klasztorem pełzać straszac jadem,  
Niż być wskazanym w cichym mniszym stanie  
Na modlenie się i na rozmyślanie.  
Przecież spoczynku nadzieja mnie łechce,  
970 Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę.

Wkrótce się wszystko skończy tak, jak życzę,  
Zasnę w mogile nie marząc, czym byłem;  
Choć moje życie zda się tak zbrodnicze,  
Gdybym mógł odżyć, żyłbym tak, jak żyłem.  
Dziś w mej pamięci, jak w ciemnej mogile,  
Leżą już zmarłe mych rozkoszy chwile;  
Lepiej by dawno leżeć razem z niemi,  
Niż ciężką włóczyć tęsknotę po ziemi.

- 980 Nigdy mój umysł nie upadł na męstwie  
 W długim i strasznym żywota męczeństwie,  
 Sam dobrowolnie w grób się nie położę,  
 Jak dawni głupcy lub dzisiejsi tchorze.  
 Ze śmiercią nieraz spotkałem się z bliska;  
 Chętnie bym poległ wśród pobojuwiska,  
 Gdybym rycerskim mógł oddychać szalem  
 I kochał sławę, jak piękność kochałem.  
 Lecz jam nie walczył dla oklasków gminu,  
 Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu,  
 To innych dzieło; niech rzną się żołdacy  
 990 Dla wielkiej sławy lub nikczemnej płacy.  
 Ale mnie dzisiaj jeszcze niech poruszy  
 Przedmiot prawdziwie godny mojej duszy,  
 Niech mam przed sobą kochankę lub wroga;  
 Choćby mi groził i miecz, i pożoga,  
 Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,  
 Na miecz i ogień jeszcze się odważę.  
 Bo mężny na śmierć ze wzgardą poziera,  
 Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydziera.  
 Kto mi dał życie, niechaj je odbiera;  
 1000 Ja śmierć bez trwogi spotykałem nieraz,  
 Gdym był szczęśliwy i dumny – a teraz?  
  
 Kochałem, ojczy – o, nie – ubóstwiałem –  
 Lecz to są słowa, słowo często kłamie –  
 Ja miłość moją czynem pokazałem:  
 Przypatrz się rdzawej na tym mieczu plamie,  
 To jest krew dawna, dotąd się nie starła,  
 Przelana dla tej, co dla mnie umarła.  
 Krew ta dobyta z serca mego wroga.  
 Nie trwoż się, księżo, nie wznos rąk do Boga,  
 1010 Za grzech zabójstwa nie lękam się kary,  
 Wróg mój był także wrogiem twojej wiary.  
 Samo wspomnienie o Maryi synie  
 Już obudzało złość w tym poganinie.  
 Głupiec niewdzięczny! bo jeżeli rana,  
 Jeśli śmierć ręką chrześcijan zadana  
 Jest Turkom kluczem rajskiego ogrojca,  
 Tedy do raju wysłał go zabójca.  
 I teraz może hurys czarnooka  
 Witać Hassana u bramy Proroka.  
  
 1020 Kochałem – miłość często drogę znajdzie  
 Tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie,  
 A miłość taka, śmiała na przygody,  
 Czyliżby miała zostać bez nagrody?  
 Gdzie? kiedy? po cóż mam głosić przed światem? –  
 Byłem szczęśliwy w miłości – dość na tem.  
 A przecież często żałuję – daremnie! –

- Wolałbym nie być kochany wzajemnie.  
 Ona umarła – jak? – o to nie pytaj,  
 Jeśli śmiesz, sam to odgadnij, wyczytaj,
- 1030 Bo tu wyryte noszę na mym czole,  
 Kaima pismem – me zbrodnie i bole.  
 Ale mnie nie klnij – posłuchaj – ja byłem  
 Przyczyną śmierci – lecz nie ja zabiłem.  
 Mógłbym i śmiałym to samo uczynić,  
 Gdyby kochanka śmiała mi przewinić. –  
 Jemu niewierna – więc on ją pochował –  
 Mnie była wierną – jam go zamordował.  
 Choć śmierć jej była zasłużoną karą,  
 Lecz jej niewierność, była dla mnie wiarą,
- 1040 Bo mnie oddała serce, skarb sieroty,  
 Jedyny, którym nie rządzą despoty.  
 Ach! późnom przybył, nie mogłem jej zbawić,  
 Mogłem jej tylko małą ulgę sprawić,  
 Mogłem w ślad za nią jej wroga wyprawić.  
 Jego śmierć lekka – ale jej męczeństwo  
 Było dla myśli mych takim straszidłem,  
 Że w końcu ludziom i sobie obrzydłem.
- On zginął słusznie – zrządzeniem wyroków,  
 On wiedział o tym od swoich proroków<sup>34</sup>,
- 1050 Których słuch wieszczy śmierć przeczuwa w dali  
 I słyszy wystrzał wprzód, nim broń wypali;  
 Zginął śród bitwy, zgiełku i hałasu,  
 Bez mąk, bez bólu – cierpieć nie miał czasu.  
 Raz tylko wezwać Mahometa zdołał,  
 Raz tylko w niebo o pomstę zawołał.  
 Poznał mnie w tłumie, lecieliśmy cwałem,  
 On poległ – długo nad leżącym stałem  
 I duszy jego ujścia pilnowałem.  
 Konał jak tygrys pokłuty od szczwaczy,
- 1060 Lecz nie czuł tego, co czuję – rozpaczy!  
 Szukałem w licu sinem, krwią nabiegłem,  
 Znaków boleści – żadnych nie dostrzegłem.  
 Rysy, śmiertelną okryte ciemnotą,  
 Jeszcze wściekłością tchnęły – nie zgryzotą.  
 Cóż bym dał za to, gdybym w jego twarzy  
 Mógł widzieć rozpacz ginących zbrodniarzy!  
 Widzieć, jak późna, niedołączna skrucha  
 Z konającego wywołuje ducha  
 Zbrodnię – i nie chce zbrodniarza rozgrzeszyć,
- 1070 Nie może zbawić, a nawet pocieszyć.

<sup>34</sup> W wielu krajach, na przykład w Szkocji, są ludzie, którzy mają posiadać wzrok podwójny: przewidywać przyszłe wypadki. W Turcji są niektórzy obdarzeni duchem prorockim i słyszący przyszłe postrzały.

\* \* \*

W krainach zimnych i serca są chłodne,  
Uczuć, prawdziwej miłości niegodne.  
W moim gorącym sercu czucia moje  
Wrzały jak w Etnie płomieniste źródle.  
Nie umiem nucić w żałosnych piosenkach  
O lubych więzach i okrutnych wdziękach.  
Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,  
Ust nieme drżenie, mieniające się lica,  
Serca katownia i głowy szaleństwo,  
1080 Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męstwo,  
Pierś chciwa zemsty, dłoń zbrojna kindzałem,  
Wszystko, co czułem i co dokonałem,  
Jeśli to znakiem kochania – kochałem!  
Nie wiem, co wzdychać i skargi wywierać,  
Wiem, jak wzajemność zyskać i umierać.  
Umrę, lecz pierwej rozkoszy użyłem,  
Niech co chce będzie – szczęśliwy już byłem.  
Mamże kląć losom? – jam sprawca mej doli,  
Ja chciałem cierpieć, nie zmieniłem woli;  
1090 Dziś wróc mi dawne trudy i rozkosze,  
Jam gotów znosić, co zniosłem, co znoszę.  
Gotów żyć znowu, jakeśmy z nią żyli,  
Gotów na wszystko – prócz śmierci Leili.  
Życia mojego żałować nie warto,  
Żałuję życia, które jej wydarto.  
Ona spi, falami nakryta chłodnemi!<sup>35</sup>  
Ach! czemuż grobu nie miała na ziemi,  
Czemuż to serce schorzałe nie może  
Znaleźć i dzielić jej podziemne łożę? –  
1100 Ach! był to anioł życia i światłości,  
Widzę go dotąd, w oczach moich gości,  
Krąży wkoło mnie, wabi mnie i nęci,  
Moja zaranna jutrzienka pamięci!

Zaiste, miłość jest świętym pożarem,  
Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,  
Aniołów dobrem, Wszechmocnego darem,  
Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.  
Pobożność duszę w niebiosą porywa,

---

<sup>35</sup> Przed niewiele laty żona Muchtar baszy oskarżyła syna swego o niewierność. Muchtar wywiadywał się o nazwiska kochanek syna. Wymieniono mu dwanaście najpiękniejszych kobiet Janiny. Basza rozkazał je teje nocy pochwycić, wsadzić w skórzane wory i wrzucić do morza. Janczar, obecny tej egzekucji, zapewniał mnie, że żadna z ofiar nie wydała krzyku ani pokazała znaku trwogi. Za mojej bytności w Grecji śpiewano pieśni o Frozynie, najpiękniejszej z owych Greczynek.

Historia o Giurze i Leili jest nieco dawniejsza; słyszałem ją od jednego z tych opowiadaczy, którzy po kawiarniach wschodnich prawią różne powieści wierszem i prozą. Żałuję, że niewiele spaamiętałem ułamek oryginału; porobiłem różne odmiany, wmieszałem własne dodatki; czytelnik je rozezna po stylu, ubogim w obrazy, orientalne.

Objaśnienia czerpałem z Herbelota i ze sławnej powieści *Kalif Watek*.

- Ale z miłością niebo w duszę wpływa;  
 1110 Uczucie, które bóstwem zapalamy;  
 Które wytrawia wszystkie myśli plamy.  
 Jest to promyczek wszechwórczego słońca,  
 Korona, duszę wokoło wieńcząca.  
 Wyznam, że moja miłość była inna,  
 Była zbyt ziemska, ludzka, nawet gminna.  
 Jam grzesznik, ojciec – lecz ona niewinna.  
 Ach! ona była mą gwiazdą polarną,  
 Zgasła, któż teraz oświeci noc czarną!  
 Ach! gdyby jeszcze weszła mi pogodnie,  
 1120 Wiodła mnie znowu, chociażby na zbrodnię!  
 Bo cóż dziwnego, że kto wraz postrada  
 I całe szczęście, i wszystkie nadzieje,  
 Pokornie głowy pod wyrok nie składa,  
 Ale klunie losom i z bólu szaleje,  
 I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,  
 A zwiększa tylko winy i cierpienia?  
 Ach! serce chore na wewnętrzne rany  
 Nie dba na żaden cios zewnątrz zadany!  
 Kto raz spadł z niebios, już się nic nie lęka,  
 1130 Mniejsza, gdzie spadnie, wie, że wszędzie męka.  
 Widzę, kapłanie, że tobie obrzydłem,  
 Drżysz i odwracasz oczy pełne trwogi;  
 I tegom dożył! żem stał się straszylem,  
 Jestem dla ludzi jako ptak złowrogi.  
 Prawda, że miałem drapieżność jastrzębia,  
 Żem latał niszcząc i lejąc krwi strugi,  
 Ale się uczył kochać od gołębia,  
 Umrę nie znając, co kochać raz drugi.  
 Dobrze by było nieraz ludzi dumnych  
 1140 Uczyć przykładem ptaków bezrozumnych!  
 Słowik, co w gajach nuci z wiosny porą,  
 Łabędź, co zdobi błękitne jezioro,  
 Małżonkę sobie jedną tylko biorą.  
 Niechaj trzpiot z licznych miłostek się chwali,  
 Niech tych wyśmiewa, co w miłości stali,  
 Niech sobie cacek szuka coraz innych,  
 Ja mu nie zajrzę tych uciech dziecinnych.  
 Lecz u mnie człowiek lekki i przewrotny  
 Mniej wart niżeli ów łabędź samotny,  
 1150 Stokroć mniej niżli nieszczęsna dziewczyna,  
 Którą uwiódłszy zdrajca – zapomina.  
 Nie, ta na sercu mym nie ciąży wina!  
 Leilo! byłaś myśli moich treścią,  
 Moją rozkoszą i moją boleścią,  
 Tyś była cnotą, ty zbrodniami memi,  
 Nadzieją w niebie i wszystkim na ziemi!  
 Tak piękna jak ty nie była stworzona,  
 A jeśli, jest gdzie, już nie dla mnie ona.

- Nie chciałbym widzieć na ziemi i w niebie  
1160 Podobnej tobie, chyba samą siebie.  
Życia mojego okropne wypadki,  
Łoże śmiertelne przyzywam na świadki,  
Że ciebie dotąd kocham, jak kochałem.  
Ty jesteś lubym serca mego szalem.  
I jej nie było – a jam z nią nie zginął!  
Żyłem, lecz ból mi oddychać nie dawał,  
Waż pierś mą ścisnął, serce me obwinał,  
Myśli me kasał i zemstą napawał.  
1170 Odtąd świat cały miałem w obrzydzeniu,  
Nie śmiałem zajrzeć w oczy przyrodzeniu,  
Na wszystkie jego wdzięki i ozdoby  
Padł całun mojej wewnętrznej żałoby!  
Resztę, kapłanie, wiesz z mojej powieści,  
Wszystkie me grzechy i część mych boleści:  
Ale mi nie mów więcej o pokucie;  
Już późno! bliskiej śmierci mam przecucie.  
Chociażbym przyjął wiarę objawioną,  
Czy ty odrobisz, co już raz zrobiono? –  
Za łzy pociechy wdzięczny jestem tobie.  
1180 Ksiądz nie pomoże nic w mojej chorobie,  
Tajnie mej duszy sam w milczeniu badaj,  
Jeśli masz litość nade mną, nie gadaj.  
Gdybyś mógł wrócić życie mej Leili,  
Ja bym pokutę zaczął od tej chwili,  
Kupiłbym zaraz i msze, i odpusty,  
I modliłbym się stygnącymi usty.

- Póđź do jaskini, gdy strzelcy wychwyca  
Z gniazda lwią małe, i rozmów się z lwicą,  
Spróbuj ukoić jej żalosne jęki:  
1190 Mojej nie ulżysz, nie rozdrażniaj męki. –

\* \* \*

- W młodości latach, w szczęśliwych godzinach,  
Gdym lubił dzielić smutki i wesela,  
W mojej ojczyzny kwitnących dolinach  
Miałem – czy mam go dotąd? – przyjaciela –  
Daj mu ten pierścień, przysięgliśmy na nim  
Wspomnieć o sobie choć raz przed skonaniem.  
Wiem, że mnie kochał – chcę, by się dowiedział  
O moim zgonie – on mi przepowiedział. –  
Dziwno – on wzrokiem przeniknął proroczym  
1200 Przed laty wszystko, co ma ze mną stać się –  
Śmiałem się – (wtenczas mogłem jeszcze śmiać się)  
Gdy on ostrzegął – nie pamiętam o czym!  
Lecz teraz myślą wyzywam na nowo  
Wzgardzone niegdyś każde jego słowo.

- Powiedz, że zgadnął – będzie mu niemiło,  
 Że się proroctwo tak na mnie spełniło.  
 Powiedz, że chociaż w tym wieku namiętym,  
 Gdyśmy wesołe przeegrali chwile,  
 Lecąc po społu w niebezpieczeństw tyle,  
 1210 Wtenczas bywałem często niepamiętnym  
 I roztargnionym – może obojętnym –  
 Powiedz, że dzisiaj językiem zdrętwiałym  
 Za jego szczęście pomodlić się chciałem.  
 Ale cóż taka modlitwa pomaga,  
 Gdy winowajca. za niewinnym błaga? –  
 Przed ludźmi – niech on sławy mej nie broni,  
 On, wiem, że dobry – przebaczy – a oni –  
 Niech co chcą, mówią – sława! Cóż mi po niej?–  
 Nie będę prosił, aby zgonu mego  
 1220 Nie opłakiwał – nie jestem tak dumny –  
 Nie masz piękniejszej ozdoby dla trumny  
 Jak łza żałośna brata kochanego.  
 Pierścień ten – niech go z rąk twoich otrzyma,  
 Wręcz mu i opisz, coś miał przed oczyma:  
 Ciało uwiędłe, duszę zagaszoną,  
 Łódź falą uczuć na step wyrzuconą,  
 Zwój pism zatarty – liść z dalekiej strony  
 Wichrem przygnany i mrozem zwarzony.

\* \* \*

- Tylko mi nie mów o snu przywidzeniach;  
 1230 Nie, to, mój ojczu, nie było w marzeniach.  
 Kto marzy, ten śpi; ja wtenczas nie spałem,  
 Jak teraz nie śpię, i zapłakać chciałem,  
 Ale nie mogłem – źrenica łez głodna,  
 Czuję, że była wysechła aż do dna,  
 Chciałem wydobyć z niej łzę, łzę jedyną,  
 Byłaby dziwną i miłą nowiną;  
 Chciałem i teraz chcę, lecz rozpacz wzbrania,  
 Rozpacz silniejsza niżli chęć płakania.  
 Nie mów pacierzy, w skutek ich nie wierzę,  
 1240 Silniejsza rozpacz niż twoje pacierze.  
 Zbawienia nie wart jestem – i nie żądam,  
 Nie raj, ale spoczynku wyglądam.

- Wtenczas – widziałem, ojczu – tak – tu była!  
 Widziałem dobrze – powstała – odżyła,  
 Białą, świecą obwiana symarą,  
 Jak widzę teraz, tam nad falą szarą,  
 Gwiazdę błyszczącą przez obłok zachodni –  
 Ona świeciła jaśniej i łagodniej.  
 Dziś gwiazda świeci słabiej i tajemniej,  
 1250 Jutro wieczorem wnidzie jeszcze ciemniej;

- Ja, nim doczekam jej promieni drżących,  
Nieczuła bryła i postrach żyjących,  
Ja umrę, ojcze. – Już kończąc cierpienie  
Zbiera się dusza w ostatnie westchnienie.  
Tu ją widziałem, ojcze, i powstałem,  
I wszystkich naszych nieszczęść zapomniałem.  
I porwałem się z łoża, i objąłem,  
I cóż do mego serca przycisnąłem? –  
Cień był w objęciu bez tchu i bez życia,  
1260 Sercem nie czułem wzajemnego bicia!  
Lecz to Leila! to jej postać była!  
Kochanko moja, jak się ty zmieniała!  
Spojrzałaś tylko, słowa nie wyrzekłaś,  
Byłaś tak blisko i z rąk mi uciekłaś!  
Lecz choć tak zimna, tak dla mnie zmieniona,  
Obym cię tylko przycisnął do łona,  
Całe me szczęście objąłbym w ramiona.  
Niestety, marę objąłem ulotną!  
Ręce opadły na mą pierś samotną –  
1270 Lecz patrz! to ona! to jej szata długa,  
Jej ręka śnieżna; patrz, jak na mnie mruga  
Tym czarnym okiem; włosy rozpostarła –  
Nie – jam nie wierzył – ona nie umarła!  
Ale on umarł, jam go sam obalił,  
Jam go pochował, kamieniem przywalił –  
On tu nie wróci, bo ciężka mogiła  
Ciśnie go z góry. – Ty? – po coś wróciła?  
Oni mówili, że ta twarz jak zorze,  
Ta postać śliczna już zapadła w morze  
1280 I że się nad nią fala szumna leje.  
Rybacy mówią – szkaradne to dzieje,  
Chciałem powiedzieć – język mi drętwieje.

- Ach! jeśli prawda, że ty wyszłaś z morza  
Szukać dla siebie spokojnego łoża,  
Ach, przesuń mokrą dłoń przez me powieki,  
Niech już ostygną, zamkną się na wieki.  
Lub rękę połóż na me serce wdowie;  
Czy ciebie marą, czy duchem świat zowie,  
Zostań oświecać chorego węzłowie,  
1290 Odchodząc weźmij z sobą mego ducha.  
Potem niech wyje szturm, niech morze bucha.

\* \* \*

Takie me imię, takie są me dzieje.  
Samemu tobie powierzam wyznania,  
Wdzięcznie przyjmuję łzę politowania,  
Suche me oko już łez nie wyleje!

Gdy skonam, pogrzeb ubogi mnie sprawisz,  
Krzyż tylko prosty na grobie postawisz,  
Bez żadnych liter – nie chcę, by wędrowiec  
Napisy czytać szedł na mój grobowiec. –

\* \* \*

1300 Umarł – nie doszedł nikt po jego zgonie,  
Jak się nazywał, w jakiej świata stronie  
Jego ojczyzna; ostatnie wyznania  
Mnich tylko słyszał we chwilach skonania.

Tyle zostało o Giaurze podania,  
I o Leili, którą on postradał,  
I o Hassanie, któremu śmierć zadał.

